

Stanisław Jan Majewski

część II z III

Sygnatura notacji: **N0104**

Data urodzenia: **08.02.1929 r.**

Data nagrania: **12.05.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 62 min, część III: 15 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Jan Majewski: No to trzeba było, [niezrozumiałe], pójść na tych Śniadeckich. No ale nie wiedział gdzie, „Jur” też nie wiedział, gdzie jest Śniadeckich. No więc za słuchawkę: „Słuchaj, przyślij mi tu Stacha”. Mój pseudonim to był „Stach”. Do mojego „Skobiga”: „Przyślij mi tu Stacha”. No więc „Stach”, ponieważ byłem akurat, jeśli byłem wolny, to w porządku, ale jeśli stałem na stanowisku, Przybiegał tam kolega, mówi: „Słuchaj, mam cię zwolnić, dawaj karabin. Jaka tam sytuacja jest na przedpolu?”. Najczęściej to była tam cisza i spokój. No a sam szedłem do „Skobika” odmeldować się. I stąd ze Wspólnej przechodziłem na Hożą 62, następna przecznica. Do „Jura” się zameldowałem, że „Stach” melduje się na rozkaz. „A tak, tak, a czy wiesz, gdzie jest ulica Śniadeckich?”. Ja mówię: „No oczywiście, że wiem”. „A to właśnie, to jak wiesz, to taka jest sytuacja, słuchaj, ja mam tam jakąś pilną sprawę”, już nie pamiętam w tej chwili, „To idź i zobacz taką i taką sprawę”. No dobra. Miałem tam, ja mówię, nawet chyba nawet wiem, gdzie ich szukać. On się zdziwił: „A skąd wiesz?”. Ja mówię: „Panie poruczniku, bo Śniadeckich z jednej strony kończy się na placu przed Politechniką. Tam już są Niemcy, no to chyba nie przenosiliby się pod nos Niemcom. Z drugiej strony gdzieś tam kończy się, Śniadeckich”. Wtedy jeszcze nie było ulicy Waryńskiego, powstała dopiero po wojnie. „Kończy się gdzieś tam chyba jak aleja Róż, Aleje Ujazdowskie, tam już też blisko Niemcy. Chyba nie przeprowadzą się z tych samych powodów tam gdzieś blisko Niemców. Tak że chyba raczej sądzę, że pośrodku”. Mówi: „No może masz rację, ale to już twoja sprawa. Masz znaleźć i załatwić to”. No i tak było. Rzeczywiście znalazłem, oni się przenieśli... Potem jak po wojnie zrobili tą ulicę Waryńskiego, to jak w prawo, jak się w Śniadeckich, jak się weszło w prawo, to chyba drugi czy trzeci budynek, tam była jakaś szkoła podobno kiedyś. Oni się przenieśli do tej szkoły, blisko dzisiejszej ulicy Waryńskiego, czyli bliżej tutaj Poznańskiej i Śródmieścia. No i tam ich znalazłem, sprawę załatwiłem. No ale właśnie tego rodzaju polecenia miałem dodatkowe, poza tym, że byłem po prostu strzel-

cem w drugim plutonie „Skobiga”. Miałem coś do załatwienia, na ulicy tam Pięknej chyba, czy za Piękną gdzieś tam, już nie pamiętam w tej chwili, bo tych, że tak powiem, rozmaitych poleceń to było całe mnóstwo. Rozmaitych. I wracając właśnie ulicą Kruczą w stronę ulicy Hożej, żeby tak gdzieś Hożą dojść do tego, usłyszałem, niektórzy mówią ryk krowy, a inni, że zgrzyt szafy, tak się wtedy nazywało. Mianowicie, moździerz salwowe przy wystrale wydawały taki dźwięk, który jedni nazywali, że o, ryczy krowa, a inni, że o, skrzypi jakaś szafa. Na ogół z początku to jak się w ogóle tylko usłyszało, to człowiek wskakiwał od razu do bramy, ale potem w ciągu powstania to już byliśmy tak przyzwyczajeni do tego, przynajmniej my. Cholera, jak teraz pomyślę, jaka to była głupota, a potem panu powiem. Że potem już byliśmy tak przyzwyczajeni, że człowiek, jak usłyszał ten ryk, to nigdzie nie uciekał, tylko co będzie dalej. Jeśli zbliżał się gwizd, no bo jak pociski nadlatywały, to słychać było gwizd. Jeśli ten gwizd się zbliżał, no to wtedy trzeba było czym prędzej czmychnąć gdzieś do bramy i na klatkę schodową. W bramie nie można było stać, bo jak pocisk w razie tego przed bramą eksplodował, to i tak by wyrzucało ludzi z bramy. Szczególnie jeśli to były pociski zapalające. Sam widziałem przed Hożą 39 i 41, jak szedłem, przykryte prześcieradłami zwłoki dwóch osób. Zwłoki dwóch osób, mężczyzny i kobiety. A skąd? Jak się potem dowiedziałem, bo nie zaglądałem przecież tam pod koc, ale spytałem się tamych z placówki, dlaczego. A, bo czekają na decyzję, bo tam znów Hoża 41, chyba na ostatnim piętrze to było, punkt sanitarny, szpital taki. Czekają na decyzję, co zrobić, a to są spaleni. Rzeczywiście byli spaleni. Jak wiatr powiał i trochę się tego, to dają panom słowo, zresztą koledzy to potwierdzili i inni, człowiek szybko się palił od góry, ale wolno się obuwie spalało. I tak spod prześcieradła wystawały męskie obuwie, a obok damskie obuwie. Stąd wiadomo, że jakiś mężczyzna z jakąś kobietą zostali właśnie..., tam pociski zapalające, które nie to, że one upadły i się tam paliły, tylko naokoło wystrzeliwało od razu jakiś tam strumień tych... A to były pociski, które tam podobno Niemcy, fosforowe czy nie fosforowe, takich, że nie dało się [niezrozumiałe] jakimś tam szybko ugasić. Szybko ugasić jakąś podręczną, prześcieradłem, kocem, czymś takim, żeby sflumić. No ale w każdym razie idąc właśnie ulicą Wspólną w stronę ulicy Hożej, usłyszałem właśnie ten ryk krowy. No i po chwili nie zanikał, bo jak gdzieś dalej pociski leciały, no to ten dźwięk zanikał. A jak nie zanikał, a się zbliżał, no ja usłyszałem, że ten dźwięk się zbliża. Wobec tego nie było na co czekać, tylko wskoczyłem do bramy. No i z bramy chciałem wskoczyć tam dalej albo do przecznicy, bo to była brama, frontowy budynek, brama. No i to była lewa, prawo przecznica tego podwórza no i tam też jakieś zabudowania. To w każdym razie, żeby z bramy wyskoczyć. No i nie zdążyłem z tej bramy wyskoczyć, jak raptem ściemniło się. Dosłownie ściemniło się gwałtownie. Mnie coś poderwało, wie pan, poderwało mnie dosłownie do góry, że miałem takie wrażenie przynajmniej, że lecę. I wreszcie gruchnąłem w tej bramie, w tej samej bramie, tylko gdzieś dalej, jak się okazało chyba, o posadzkę. I cały czas człowiek odruchowo... Myśmy nosili... Nasz mundur tu się składał z beretów, orzełka, a ponieważ byliśmy kompanią lotniczą, to jeszcze oprócz orzełka nosiliśmy szachownicę taką na tym. Ale grube berety. No więc jak gruchnąłem na ziemię, to człowiek odruchowo przewrócił się na brzuch i zakrył głowę, głowę na ręce. No i ciekaw, co będzie dalej. No i napisałem tam, jak pisał, że cały czas czułem spadające odłamki jakieś, tynku, jakieś odłamki cegieł itd. Bo co się okazało później? Mianowicie ten pocisk, jeden z tych pocisków, czy może więcej, zmiotł dosłownie przecznice tego domu, w którym się chciałem schronić. Nie zdążyłem wejść, jak chyba prawa oficyna została zmieciona dosłownie. Ten kurz, odłamki itd., człowiek się krztusił, chciał złapać powietrze, to zamiast powietrza to człowiek łapał od razu jakiś kurz, jakiś piasek, coś, że ludzie nie wiedzą. Tak że tak to wyglądało. Uszy zatkane, nos zatkany, wie pan. Byłem pewien, że to już koniec jest, dlatego ten tytuł właśnie, „Ta ostatnia niedziela”, bo to było w niedzielę 20 chyba 27 tam jeszcze, chyba 27 w niedzielę i stąd ten tytuł tego, że ta ostatnia niedziela. Przypomniało mi się, potem jak pisałem, że była taka przed wojną piosenka,

znana piosenka „Ta ostatnia niedziela”. I stąd wziąłem tytuł. Byłem pewien, że to już moja ostatnia niedziela, bo jak sypało się na człowieka, to byłem pewien, że jestem zasypany. Ale ci, którzy przypisywali już tam na tego, ja im mówiłem o odłamkach, o odłamkach cegieł, o odłamkach jakichś tynków. To napisać, chyba że cegły spadały. Cegła jakby spadła z takiego tego, to bym w ogóle już nic nie słyszał prawdopodobnie. A więc takie są właśnie tam niedoróbki, nie z mojej winy, bo to po prostu... Doczytałem się potem jak dostałem już artykuł. Myślę sobie, że najwyżej ktoś, kto wie, to się pośmieję z tego, ale to nie moja wina. No ale po chwili takiego leżenia, duszenia się itd., wie pan, stwierdziłem, że jeśli czuję na plecach te odłamki, to znaczy, że świadomość działa, że nie jestem chyba załuczony zupełnie. No więc poruszyłem nogami, chcąc wstać. Cholernie bolały mnie kolana. Wiecie, wtedy jak rąbnąłem o tę posadzkę, to gdzieś kolanami, bo pamiętam tylko ból tych kolan, ale normalnie wtedy już na takie rzeczy człowiek nie zwracał uwagi. Normalnie wstałem. Ciemno było, choć już właściwie chyba po chwili to się zaczęło trochę przejaśniać, bo kurz zaczął opadać. Ale już się rysowała, od ulicy rysowała się.... kontur wyjścia bramy. Brama wewnątrz, ciemno było, a ulica była normalnie. Tak że wyskoczyłem na ulicę, wyskoczyłem wtedy na ulicę, bo to jedno co człowiek, o czym myślał wtedy? Żeby wyskoczyć, żeby wyjść. Dlatego nie ma takich, jeśli są, to uważam, że to ludzie chorzy, którzy by się nie bali. Każdy się boi, bał śmierci i my też. W każdym razie każdy miał. w pamięci, że składał przysięgę i go to obowiązuje, ale strach pozostał. Ale strach pozostał, tak że ja też wyskoczyłem. Jedyna myśl, jaka wtedy była, to wyskoczyć wreszcie stąd na ulicę, bo te się może, nie wiedziałem, czy się za chwilę może zawalić albo coś. No i wyskoczyłem z powrotem z tej bramy na ulicę Kruczą i wpadłem na jakieś grono kilku osób, które biegły w tę stronę, sąsiedzi z sąsiednich domów czy z naprzeciwka, prawda. Co się tam dzieje, no bo oczywiście... Jakaś pani z tej chyba grupy złapała mnie za ramię i coś do mnie zaczęła mówić. I wtedy dopiero rzeczywiście się przeraziłem, wtedy przeraźliwy strach, bo widziałem po ustach, że ono coś mówi, trzyma mnie cały czas za ramię, coś mówi, a ja nic nie słyszę. I wtedy sobie uświadomiłem, że to diabła, rzeczywiście ja nie słyszałem ani wybuchu, ani nic. Wyskoczyłem, ta kobieta coś do mnie mówi, a ja dosłownie nic nie słyszałem. Wtedy sobie zdałem sprawę, że nie tylko tej kobiety nie słyszę, ale przecież normalnie się człowiek spodziewa, że jak jest ostrzał, jakiś wybuch, no to słychasz wtedy ten wybuch, prawda, coś, a ja tego wybuchu nawet nie słyszałem. No i ta kobieta trzymała mnie za ramię cały czas, coś tam do mnie mówiła. No więc ja, nie wiem, powiedziałem czy krzyknąłem. Jak człowiek głuchy to nie wie, czy mówi normalnie, czy jakimś głosem podniesionym. Powiedziałem: „Proszę pani, nic mi nie jest”. Mi rzeczywiście, w zasadzie nic nie było poza tym, że nic nie słyszałem, że miałem.... Aha, no jeszcze. Mianowicie jak stwierdziłem, trzymała mnie za ramię, że nic nie słyszę, to myślałem, że coś tam wystarczy w sobie w uchu pogrzebać, no więc tam zacząłem trzeć uszy. Trzeć uszy, nos, prawda itd. Wypluwać ten piach z buzi na ten, ale to nic nie pomogło. A poza tym nic mi rzeczywiście nie było. To, że te kawałki cegieł tam tłukły człowieka, to tam... To była pestka. Bolące kolana, to też to była pestka. Najważniejsze, że stwierdziłem, że nie jestem zasypany. Że nie jestem zasypany. Ale to przerażenie moje to skąd wynikło. Mianowicie kiedyś w czasie okupacji już w domu, przeglądałem jakieś ilustracje, widziałem takiego dziadka, wie pan, ilustrację takiego dziadka, który przy uchu trzymał taką jakby trąbkę, wie pan, a ktoś do niego tam coś w tą trąbkę mówi. Ja sobie... Nie wiedziałem, jak to wygląda. Byłem pewien, że właśnie taka jest przyszłość człowieka głuchego. Nikt wtedy przecież nie myślał o jakichś aparatach słuchowych itd. I to mnie właśnie przeraziło. Miałem lat 16 i raptem ni z tego ni z owego, człowiek się tutaj za dziewczynami już niemalże oglądał, a tu raptem przy uchu z trąbką. Powiedziałem do tej pani, że właściwie nic mi nie jest. No i wyrwałem się tam, bo trzymała mnie cały czas za ramię, wyrwałem się. No i pobiegłem w stronę właśnie od Pięknej w stronę Hożej. W stronę Hożej, skręciłem w Hożę, gdzieś chyba na Hożej już na wysokości nie dochodząc do Marszałkowskiej, ale

na wysokości ulicy Skorupki. Nie pamiętam, czy już wtedy było księdza Skorupki, czy tylko Skorupki. Nie, chyba Skorupki to został za czasów komunistycznych, a to była księdza Skorupki jeszcze ulica przed wojną. A ludzie się tak dziwnie na mnie patrzyli, tam od czasu do czasu ktoś szedł ulicą. Dziwnie tam na mnie patrzyli, nie wiedziałem dlaczego. Ale tak sobie pomyślałem, na pewno jestem umorusany, zasypany i dlatego. Jakiś facet przyszedł do mnie, stanął przede mną raptem i coś do mnie mówi. No ja nic nie słyszę. Słyszę, że mówi, ale nic nie słyszę. Już miałem powiedzieć, że nic nie słyszę, ale raptem facet spojrzał w górę tak jakby i prysnął pod ścianę gdzieś tam, pod ścianę na ten. W pierwszej chwili się nie zorientowałem. Dopiero po drzeniu ziemi, bo to jak wybuchł był, okazało się, że tego dnia Śródmieście było ostrzeliwane ciężką artylerią. I taki pocisk jak gdzieś eksplodował na ulicy, to czuć było, jeśli ktoś nie był głuchy, to słyszał, powiedzmy sobie jakiś odgłos. Ja nic nie słyszałem, natomiast ziemia drżała po prostu. Po prostu ziemia drżała. Jak się potem dowiedziałem właśnie już z powojennej lektury, tego dnia właśnie Śródmieście było ostrzeliwane ciężką artylerią. No ale nic nie widziałem. Poszedłem po prostu dalej, przez Marszałkowską już nie było takiego przejścia, tam już przepuszczali tylko ludzi, dlatego trzeba było wyjść pod barykadę. Marszałkowska była ostrzeliwana od strony z kolei Alei Jerozolimskich. Wtedy w czasie powstania nazywały się Aleje Sikorskiego. Z tamtej strony, no więc można było tylko albo przyjść przez barykadę, gdzieś tam, jeśli była, a jak nie to tylko poczekać na jakiś koniec ostrzału i wtedy czmychnąć, prawda, że może się uda przeskoczyć przed następnym. No bo facet strzelał, jak tam kogoś widział, nie widział, no to przestał. To wtedy można było korzystać, strzelec zanim się złożył znów, to była nadzieja, że człowiek się znalazł już po drugiej stronie. Tak przez Marszałkowską, taka sama historia była potem, bo teraz niektórzy, jak mówią, że gdzieś po godzinie znalazłem się tam chyba na Hożej 62, to przejdź mówią: „Matko, Hoża 62, od Marszałkowskiej to jest jaka godzina. Ślimak by doszedł na tego”. Tak, to dzisiaj jak się idzie normalnie, to można sobie nawet spacerkiem w ciągu 10 minut przejść tą odległość. Ale wtedy trzeba było tak, przez tą Marszałkowską przeskoczyć ileś razy. Następnie do Poznańskiej i to samo. Poznańska jeszcze gorzej, bo to był gmach, ten dzisiejszy Urzędu Pocztowego, tam jest ten Urząd Pocztowy do dziś. Wysoki gmach, oni panowali nad ulicami. Tam zresztą straciliśmy pierwszą ofiarę powstania. Mianowicie, kiedy się... Wrócę na chwilę do początku powstania. Gdy Niemcy już przecięli ulicę Poznańską właśnie strzałami, raptem zostali odcięci ludzie, którzy byli po przeciwnej stronie, a musieli ten... I właśnie jakaś kobieta taka... Podobno, nie wiem, ja już nie pamiętam, ale podobno wyglądała na taką właśnie starszą, jak gdyby wiejską kobietę, że ona musi koniecznie przejść, bo ona dzieci ma po drugiej stronie. Dzieci, na zakupy i musi koniecznie wrócić. No więc tam jeszcze nie było barykady, bo to był pierwszy dzień. Zaczęli tam krzyczeć do niej z balkonu: „Niech pani nie wychodzi, bo jest ostrzał”. „A tak, ale ja mam dzieci”. Machnęła ręką. No i próbowała przejść. No i tak jak było powiedziane, rozciągnęli ją na środku, na środku ulicy Wspólnej. Seria ją dosięgła no i tam została. I to była pierwsza ofiara na naszym, tak bardzo blisko nas. No ale co? Bo wróciłem na chwilę do tego. Tak że musiałem, trzeba było przejść tak, Marszałkowską, potem Poznańską i to trwało trochę, człowiek musiał od... Tak że po jakiejś tam po godzinie, półtorej, wszedłem na ulicę Hożą 62, tam, gdzie było tego. Szedłem po schodkach. Zobaczyłem od razu, że wzbudzam sensację, tylko mnie zobaczyli w drzwiach. Niektórzy wstali, patrzą się na mnie i myśleli, że jestem gdzieś ciężko ranny. Okazało się potem, że ja nie byłem rany, tylko jak tarłem te uszy, to rozmazałem sobie na twarzy ten pył jakiś i taki czarno-biały. I jakiś byłem podobno na ten, jak mi powiedział właśnie kolega, umazany. Oni myśleli – ja w tym obsypaniu w ogóle byłem. Więc nie widzieli, myśleli, że jestem ciężko ranny. No ale jak zobaczyli, że po schodkach schodzę normalnie, żeby się zameldować u porucznika, że: „Panie poruczniku, trzelec melduje powrót z wykonania zadania”, czy tam z czym. No więc zobaczyli, że widocznie nic mi nie jest, bo był wtedy taki był fason, żeby stuknąć obcasami, wyprężyć się

i zameldować, to wybuchnęli śmiechem. Ja z kolei nie wiedziałem, o co chodzi. A okazało się, że ten mój meldunek, mnie się zdawało, że ja mówię normalnym głosem. Normalnym głosem. Tymczasem podobno był, jak powiedział kolega, wyrzeszczany. Wyrzeszczany. Ja nie słyszałem tego. „Wrzeszczałeś...”, mówi tak, „...że wszyscy nie wiedzieli, co się dzieje”. No ale on trochę tam przesadzał na pewno. No i wróciłem, zameldowałem porucznikowi. No więc jak się dowiedzieli, to mnie od razu na ulicę Poznańską. Na Poznańskiej był nasz szpitalik batalionowy. Do tego szpitalika tam lekarz, czymś tam z pielęgniarką tam zaglądali, coś tam chyba podłubali, coś po tego. Trochę to pomogło, ale jeszcze niewiele, natomiast po jakichś kilku dniach coraz mniej. I właściwie to już mi specjalnie po kilku dniach nie przeszkadzało, człowiek już przemył dobrze, uszy, itd. To już jako tako słyszałem. To było dla mnie najważniejsze, bo ja się bałem, że mnie porucznik wyrzuci, jak będę z tą trąbką musiał maszerować, a okazało się, że trąbka nie jest potrzebna. No i to właściwie tak wyglądało to, o co pan pytał, że właśnie kiedyś jak mnie zaczepiła w jakiejś innej sprawie, w Muzeum Powstania Warszawskiego: „A czy pan napisał relację?”. Ja mówię: „Nie, nie napisałem, bo nie mam o czym pisać, no że byłem, służyłem, to wszystko”. „No tak, ale może pan miał jakieś charakterystyczne...?”. Ja mówię: „Proszę pani, przypomnę sobie coś charakterystycznego”, ale nie. No i potem przypomniałem sobie, że to może to im dać no i rzeczywiście po jakimś czasie przynieśli mi, że zamieścili tą relację. Tak jakby było o czym. No i to właśnie w najciekawszych. A poza tym normalna służba, jak powiedziałem. Co jakiś czas, jak musiałem pójść, wziąć karabin od kolegi, bo jak powiedziałem, broń była związana ze stanowiskiem. Na początku, bo przy końcu powstania już nie, już było więcej. Ze zrzutów itd., ale na początku powstania taka była historia, że karabin był związany ze stanowiskiem, a nie z żołnierzem. Tam pełniliśmy normalnie służbę. Czy nam Niemcy dokuczali? My nie dokuczaliśmy, bo nie mieliśmy czym, szczerze mówiąc. Bo kiedyś tam wykrzyczałem, że w naszych zamierzeniach to było, żeby zdobyć tę pocztę, wie pan. A czym do diabła mieliśmy zdobywać? Kilka karabinów, kilka starych granatów, których zresztą człowiek się bał, bo nigdy nie wiadomo, czy on normalnie wybuchnie, czy nienormalnie, bo to były gdzieś tam z 1939 r. zakopane gdzieś tam w ziemi i ktoś tam sobie przypominał, no i stąd miał trochę granatów. Kilka, a były tam pistolety, no i z tym mieliśmy zdobywać całe lotnisko. Na szczęście potem dowództwo się przychyliło, że to jednak nie ma sensu. Zresztą taka masakra była proszę panów. Mianowicie to, o czym mówię, to było naprzeciwko lotniska po drugiej stronie alei Krakowskiej. Tam były już takie domki. Nie wiem, czy jeszcze są. Domki, bloki, ale były takie domki jednorodzinne najczęściej. No i tam rozmieszczony były nasze oddziały Wysockiego, tego „Garłucha” [7 pułk piechoty AK]. A po przeciwnej stronie lotniska, nie wiem, jak się ta miejscowość nazywa. Vis a vis, ale po przeciwnej stronie lotniska, był rozkazem właśnie tegoż chyba porucznika Wysockiego, stał oddział, batalion „Kuby”, o ile pamiętam. Dowódcą był „Kuba”, ale zupełnie nie mam ani nazwiska, ani tego, pseudonim zresztą. Tak się to wszystko myli, że po latach człowiek nie wie, czy operuje nazwiskiem, czy jego pseudonimem. No bo w czasie okupacji operowało się pseudonimami, a o nazwisku się zapominało. Potem właśnie zaraz, a jak on się właśnie nazywał? A to Kuba, to Kuba, ale co za Kuba? No więc tam był oddział „Kuby”, batalion „Kuby”. I on umówiony był z porucznikiem Wysockim z tej strony, że jak usłyszysz strzały o godzinie 17:00, jak się rozpocznie powstanie i usłyszysz strzały, to on zaatakuję z drugiej strony właśnie. Z drugiej strony zaatakuję, czyli lotnisko będzie atakowane z obu stron. Po drugiej stronie były takie same jak po tej stronie wieże, z czterolufowymi działkami, Niemcy wystawili. Droga, a za tą drogą były znów takie domki jak po tej stronie, gdzie rozlokowały się jeszcze służby pomocnicze, a więc tam telefoniści, powiedzmy sobie sanitariuszki itd., łącznicy zostali w tych domkach. No i jak przyszła godzina 17:00, to mimo że „Kuba” tam nie słyszał, czy z drugiej strony coś się dzieje, nie czekał na to, tylko wydał rozkaz do ataku. Do ataku. No więc przeskoczyli z tych domków przez drogę, przez szosę, zaatakowali lot-

nisko. Niemcy ich przepuścili. Podobno na odległość jakiejś tam dopuścili na odległość 200 metrów, i jak rąbnęli z działek, to na miejscu zginął „Kuba” i większość jego oddziału od razu. Ci, którzy zobaczyli, co się dzieje, ale nie byli nawet ranni, to się pokładli i udają zabitych, bo myśleli, że może im się uda przeczekać, jak przyjdzie godzina 17:00, może jak przyjdzie wieczór, po ciemku to się może wycofać. Nie mogli się wycofać w ciągu dnia, bo Niemcy jak zobaczyli tylko jakiś ruch, to od razu rąbali jak do kaczek. Ten, który podobno leżał, bo udawał zabitego i raptem zaczyna się czołgać z powrotem, no to było wiadomo, w czym rzecz. Tak że chyba nikt nie został, o ile pamiętam, z tego oddziału. Zostały tylko te właśnie służby pomocnicze, które tam były, sanitariat, telefoniści po drugiej stronie drogi. Dlaczego? Dlatego, że Niemcy po jakimś czasie wypuścili na tą drogę czołgi. Czołgi sobie stały co jakiś czas, no i patrzyły, czy ktoś się tam rusza, czy nie. A nie wiem tam, jeden czy dwa czołgi zajechały z drugiej strony na lotnisko. Jak tylko ktoś się poderwał, bo nie każdy nerwowo wytrzymał, leżał, udawał zabitego, czekał, aż się zrobi ciemno, a tu raptem z tego. Słyszysz prawda, że toczy się czołg. Nie wszyscy nerwowo to wytrzymali. Raptem się podrywali, czy przenosili, przeczolgowali, to po prostu ich rozjeżdżali czołgami. No i tak się skończyło natarcie na Okręcie z tego, co ja wiem. Znaczący, ja tam po tej drugiej stronie nie byłem, to mówię tylko na podstawie relacji tych, którzy to przeżyli, ale to były służby pomocnicze. Z kolei ludność tych domków, jak zobaczyła, co się dzieje, to kazali im się szybko wynosić. Pozrywali im opaski itd., wszystko obudowali, musieli zamelinować albo spalić, bo się bali, że jak Niemcy wyjdą, no to tak, niektórzy to mogli zostać jako domownicy. Albo to tam ciotka, czy tam wujek, czy tam kuzyn, prawda, przyjechał, a to powstanie go zostało tutaj. No ale nie, nie mógł mieć opaski, nie mógł być w mundurze, no bo Niemcy przecież głupi nie byli. Też od nich wiemy, jak to wyglądało. Natomiast ja z drugiej strony, to było tak, jak powiedziałem, Wysocki uzyskał zgodę, ale to chyba za trzecim, drugim czy trzecim razem, jest taka książka, też ją tam mam, pod tytułem chyba, nie pamiętam, „Obroża”. „Obroża” to był kryptonimem okupacyjnym tego 7 Pułku Piechoty „Garluch”. „Obroża” w czasie okupacji i Powstania Warszawskiego. Tam jest właśnie ten opis, jak to wyglądało od tamtej strony. No i cóż, my dostaliśmy rozkaz, żeby nie przewidywać się na Okręcie, bo odwołana jest tak akcja zdobycia, więc siedzieliśmy na tej Hożej. I tam już było nasze stałe miejsce, to znaczy dowództwo kompanii na ulicy Hożej, dowództwo batalionu na Poznańskiej 12, no i mój drugi pluton, narożny dom Poznańska róg Wspólnej. Tam żeśmy siedzieli. Mianowicie, jak dzisiaj już rozeszła wieść, rozeszła się, nie wszyscy wiedzieli, ale już tam niektórzy wiedzieli gdzieś tam, że najpierw, że jest kapitulacja, to wiedzieliśmy wszyscy. No ale kto będzie wychodził? Że najpierw wychodzi ludność cywilna, a potem wychodzi wojsko. Ja o tym, że jest kapitulacja, to wiedziałem, że oczywiście idziemy do niewoli, też wiedziałem, ale nic poza tym. I wtedy dostałem jakiś rozkaz, pamiętam od „Jura”... Coś miałem zobaczyć. Nie było mnie w każdym razie na placówce tam wtedy. I przyszła moja mama. Ponieważ, jak powiedziałem, Hoża 62, a ja mieszkam 100 metrów niecałe na tej samej Hożej, no i tak że mama wiedziała, bo ja w czasie powstania kilka razy musiałem przechodzić przez nasze podwórce, bo nasze podwórce też było podwórzem przejściowym. Mianowicie jak się wyszło z piwnicy na podwórce i poszło się w tą oficynę, która oddzielała od ulicy Wspólnej, to tam przebito był mur. Mnie się zdaje, że to jeszcze z czasów 1939 r., ale nie przysięgnę już. W każdym razie można było się tamtędy dostać do naszych placówek a ulicy Wspólnej. Na ulicy Wspólnej, tak że kilkakrotnie musiałem przejść tamtędy. A więc to rodzice wiedzieli, bo się pytali, a gdzie stoisz, i wiedzieli, gdzie mnie szukać ewentualnie. No i jak się już dowiedziała mama, jaki jest harmonogram wyjść, że najpierw wychodzi ludność cywilna, a potem wojsko zostaje i potem wychodzi, no to mama przyszła na placówkę, bo szczerze mówiąc, wpadła w panikę, bo ojca nie było, bo ojciec był odcięty na Ochocie. Nie było go w czasie powstania, została tak mama. Mama miała rękę zresztą skaleczoną, szyba spadła, wybuchł pocisk, wyrzucił szybę, i miała

skaleczoną rękę, więc miała zawiniętą rękę. Nie mogła nic robić, miała jedną rękę. No i mojego brata, mój brat był 3 lata ode mnie młodszy. Młodszy, który w dodatku potem zginął, chory na serce. I potem nie tyle zginął, wiele, już w 1962 r., a więc już po powstaniu. Był w szpitalu na ulicy Płockiej. Operował go profesor [Leon] Manteuffel. No i operacja się nie udała niestety i zmarł mój brat. Ale wtedy to był... Miał ile, jak ja miałem, nie wiem, 14, 15, to on musiał mieć lat 10 czy 11, prawda. W każdym razie był jeszcze smarkaczem. Tak że mama przyszła, bo chciała się poradzić po prostu, co mam zrobić. Bo tak, wyjść to wyjść, ale raptem przychodzi ktoś i mówi, że ludność cywilna ma wyjść z miasta. No ale co, jak wyjść? Co wziąć? Przecież każdy tam mieszkał. Moi rodzice mieszkali od 1934 r. i raptem mają opuścić to i wyjść. Znaczą moja mama, prawda, i wyjść. No ale co zrobić? No więc mama wpadła w panikę. Niektórzy tam, niektórzy zresztą, ci, którzy tam mieli jakieś cenne rzeczy, na przykład jakieś zastawy, powiedzmy srebrną zastawę stołową, no to przecież z sobą nie będą brać. No to gdzieś tam jakąś walizkę czy coś. Wykopywali w piwnicy dół, walizkę włożyli, zasypali w nadziei, że jak przyjdzie tam za miesiąc czy dwa, front się przesunie dalej, to wrócą z powrotem, wykopią itd. No moja mama nie miała takich kłopotów, srebrnej zastawy tam nie miała, ale coś trzeba było pochować. No więc powynosiła tam do piwnicy niektóre rzeczy, w szczególności dokumenty, nie dokumenty, te, które uważała, że trzeba przechować, a sama tylko walizeczkę, za rękę mojego brata i musiała wyjść, prawda? Razem z bratem musiała wyjść i z lokatorami, kiedy tam przyszła ta kolej na wyjście już z Warszawy. No ale to było już później, początkowo to mama nie bardzo wiedziała, co ma zrobić. Natomiast przyszła do mnie spytać się, pytała się o mnie, a mnie akurat nie było, więc pokazywali jej, że a tu jest pan porucznik, to będzie wiedział gdzie. No więc poszła do porucznika, tego „Jura”, no i powiedziała, że jest moją matką, że ponieważ już wiadomo, że wychodzi ludność cywilna, to chciała się po prostu pożegnać ze mną, a po drugie chciała się poradzić, bo nie bardzo wie, co zrobić, co znieść do piwnicy, czy nie znosić, czy zamknąć mieszkanie, czy nie zamykać tego mieszkania na tym, itd. No porucznik tam właśnie z mamą porozmawiał, no i przyrzekł mamie, że jak tylko wrócę, to zaraz przyśle mnie, żeby mama się mogła pożegnać i poradzić. No i tak mama, zresztą była bardzo nim zachwycona, bo tak był bardzo grzeczny, kazała mnie siadać, to, tamto, porozmawiali sobie, tak jak mi to mama potem opowiadała. No i potem pożegnała się, prawda, no i poszła. No i rzeczywiście jak ja tam wróciłem, nie wiem, za godzinę czy tam za ileś, złożyłem tam meldunek „Jurowi”, no to już mnie postawił na baczność i zaczął mnie, jak się to mówi, opieprzać. Oczy wytrzeszczyłem, bo nie wiedziałem, o co chodzi. Ale widziałem po minie, że tak jakoś to niezbyt to mówi serio. Ale tego: „Co ty sobie myślisz? Nic nie powiedziałeś, że masz rodzinę, że masz matkę chorą itd. Udajesz żołnierza, a o rodzinie nie myślisz, itd. Nic nie wiedziałem, dopiero mi wtedy powiedział, że była twoja mama, że ma takie dylematy, no bo... Młodszy brat i nie wie, co ma zrobić”. No a poza tym chciała się pożegnać po prostu z tobą, bo słyszała, że wojsko wychodzi dopiero później. No ale już przemyślał to i mówi tak: „Słuchaj, ja mam inną koncepcję. Z całego batalionu to ty jesteś najmłodszy. To my musimy iść za druty do obozu, bo chyba że ktoś...”. B o wtedy był rozkaz, wyszedł, potem wyczytałem już potem po wojnie, był rozkaz, żeby nie robić trudności tym, którzy chcą po prostu wyjść z cywilami, bo mają gdzieś rodzinę. Byli w Śródmieście, a rodziny mają gdzieś na Mokotowie, albo mają, powiedzmy na Starym Mieście, to gdzieś chcą się z rodziną połączyć. No i wtedy bez kłopotu mogli się odmeldować, i było takie polecenie, żeby właśnie nie utrudniać tego. Ale o tym wtedy jeszcze nie wiedziałem. W każdym razie wcale mi się to nie uśmiechało. Nie uśmiechało, porucznik chyba zauważył, że trochę się wykrzywiłem. Mówi: „Słuchaj, to nie jest moja prośba, tylko to jest rozkaz”. Jak powiedział, że rozkaz, to ja stanąłem na baczność. Mówię: „Tak jest, słucham panie poruczniku”. Mówi: „Słuchaj, to jest, masz taki rozkaz. Jesteś najmłodszy z tego. Ty masz największe szanse wobec tego, żeby cię Niemcy nie wzięli do obozu czy na roboty”. No bo dużo osób się bało,

że a może ich wezmą na roboty do jakiejś niemieckiej fabryki, fabryki uzbrojenia czy coś, prawda, bo były takie historie. „Tobie się najłatwiej będzie udać, tylko...” mówi: „Zajmij ten swój mundur”, bośmy zamiast munduru mieli takie robocze. Jak to się nazywa, z kieszeniami, takie robocze. Właśnie, z kieszeniami, tu, tym. Granatowe, granatowe balety z orzełkami, a obok orzełka lotniczy emblemat nasz. Mówi: „To wszystko pozdejmuj”. Aha, ten pas. Pas mam do dziś jeszcze po ojcu, bo nosiłem taki pas wojskowy po ojcu. Więc to jest pas, który mi został po moim ojcu. Przedwojenny pas. Ja oczywiście w czasie powstania go od razu zaanektowałem. On już w tej chwili jest mocno zniszczony. Mocno zniszczony, bo go... Więc porucznik mówi: „To zdejmij ten pas. W ogóle wszystko to, co by wskazywało, że jesteś ten, udawaj takiego nieboraka. Nieboraka, bo najłatwiej będzie Niemców w ten sposób oszukać i wyjdź wtedy, jak cię Niemcy już wypuszczą, wraz z innymi, którzy... czy ten... To wiesz, co masz zrobić, bo mówię, ja cię mogę zwolnić ze służby, ale nie mogę ci zwolnić z przysięgi. Tak że wiesz co masz zrobić. Tam, gdzie się znajdziesz, na pewno będzie jakaś placówka Armii Krajowej, to się po prostu zameldujesz dalej. Ale jest jeszcze ważniejsza sprawa, nawet gdyby nie było takich możliwości, że ktoś tu powinien po powstaniu być. Ktoś, kto by powiedział, że taki oddział był tu i tu, w takim i takim składzie, gdzie walczył itd. I to będzie twoje zadanie. Bo różnie to po wojnie może być. Nas z obozu może nie wypuszczą, może gdzieś dalej popędzą, albo w ogóle nas zlikwidują, bo trudno powiedzieć było. Chodziły słuchy, że właśnie taka możliwość jest, tak że pamiętaj. A przy okazji, jak już będziesz wychodził, ubierz się w krótkie spodenki, to nie, bo zimno jest, by ci było zimno, ale w każdym razie ubierz się tak, żeby Niemcy nie mieli zastrzeżeń. A przy okazji od razu możesz właśnie o swojej mamie. Wyjdiesz razem z mamą do cywila, do obozu wraz z ludnością cywilną”. No i tak było. Poszedłem do... Nie uśmiechało mi się to, nie miałem nic do powiedzenia. Uściskaliśmy się serdecznie z porucznikiem. Nawet by mi do głowy nie przyszło, że to był ostatni raz, kiedy już się w życiu widzimy. Jak powiedziałem, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach właśnie w Toronto, w Kanadzie. W Kanadzie, nie wrócił do kraju. I tak było, wyszedłem najpierw do swojego porucznika, dowódcy plutonu, do „Skobika”, prawda. Zameldowałem się, on już zresztą wiedział, bo „Jur” zadzwonił do niego, że taka sytuacja. Wiedział, pożegnałem się z tym „Skobigiem”, z kolegami, z tym, którzy tam zostali, bo nie wszyscy zostali, bo niektórzy w ogóle nie czekali na jakieś tam tego, tylko od razu dali dęba, jak usłyszeli, że jest kapitulacja. No i stąd wyszedłem z ludnością cywilną do obozu w Pruszkowie. I to było właściwie zakończenie mojej wojskowej epopei związanej z Powstaniem Warszawskim. Ja miałem o tyle... Nie miałem kłopotu z nawiązaniem już potem łączności z kolegami, bo oczywiście Niemcy tak... To, że z ludnością cywilną wyszedłem, ale Niemcy ci, którzy robili segregację w Pruszkowie, już się tak łatwo nie dali, nie dali się tego. Dostałem przydział do jakiejś takiej grupy, grupy, którą załadowali do wagonu towarowego, do pociągu i pojechaliśmy do Breslau, czyli do Wrocławia dzisiejszego, do Breslau. Ja mówię my, bo tam właśnie w Pruszkowie nawiązałem łączność, bo tak, mamie powiedziałem, że jest taka sytuacja. Mówię: „Mama, ciebie z bratem na pewno Niemcy gdzieś wyrzucą, wywiozą i wyrzucą na ten. Ja nie jestem pewien, czy tak będzie. Być może, że mnie właśnie zatrzymają gdzieś”. Tak że się z mamą..., pożegnałem ich, i z bratem na wszelki przypadek. Jak już wychodziliśmy, no zresztą, że wiemy, że ten i ten blok grupami mamy się zgłosić do selekcji. No i tak było. Trafiłem do grupy, oni mówili, że są elektrykami. Rzeczywiście chyba byli elektrykami. Jedni twierdzili, że wysokoprądowymi, czyli ci, którzy pracują przy instalacjach wysokiego napięcia, tramwajowych, kolejowych, itd. A inni, że są elektrykami, ale oni tylko na niskie napięcie, a więc tam takie domowe te 380 V. Ale w każdym razie trzymali się razem. Nie wiem, dlaczego trzymali się razem. No, pal diabły. Moim zdaniem to oni się znali, chyba pochodzili gdzieś tam... No nie wiem skąd, ale chyba też nad Wisłą. I stamtąd się chyba znali. No zresztą była grupka jakichś pięciu chyba czy sześciu osób. No i jak wychodzili, nasza grupa miała wyjść do tej selekcji, no to oni

wszyscy się porozumiewali... Ale zobaczyli, że ja nie wstaję. „To co, pan nie wstaje? Nie idzie pan?”. Ja mówię: „No tak, ale ja skończyłem szkołę powszechną, z elektryki to tylko potrafię odróżnić, ile wat ma żarówka, ale to całe moje wiadomości na temat elektryczności”. „Co się pan przejmuje, niech pan idzie z nami, my powiemy, że jest pan naszym uczniem, że jest pan dopiero na przyuczeniu”. No dobra, było mi wszystko jedno właściwie, poszedłem z nimi i tak było. A grupa elektryków, prawda, tych fachowców, no a ja powiem, jestem uczniem na praktyce u panów z elektro-techniki, prawda, itd. No to akurat z tą grupą, no to przeznaczili nas do wywozu, chyba do Niemiec, ale na razie do Breslau. No do Wrocławia. Załadowali nas ten pociąg do Wrocławia. Tam żeśmy, we Wrocławiu już była selekcja. Mnie się wydaje, że ta pierwsza selekcja to była raczej tak na organoleptycznie, na wygląd. Jeśli wyglądał ktoś zdrowo, no to go przeznaczali gdzieś tam do Niemiec, do roboty, do fabryki, do tego. Ale ta selekcja w ogóle do Breslau. Tam w Breslau też była selekcja, ale już była selekcja właśnie umiejętnościami. Umiejętnościami, kto, że tak powiem, jakoś jest specjalistą. Ty jesteś stolarzem, ty jesteś tam malarzem, murarzem, elektrycy itd. No i tam właśnie z tego pobytu właśnie tam w Breslau, przydział dostaliśmy, my jako grupa, znaczy ja razem z nimi, jako grupa elektryków do obozu do Niemiec. Cholera, nie bardzo się uśmiechało, nie mieliśmy nic do powiedzenia. Na szczęście dali nas do obozu, to był już 1944 r. Do obozu do Hirschbergu, czyli do dzisiejszej Jeleniej Góry. Tam się okazało, że tam jest niemiecki obóz zbiorczy. Tam byli i Francuzi i Czesi, chyba trochę Hiszpanów, o ile pamiętam, ale najwięcej to było Rosjan albo Ukraińców, bo ja nie odróżniam, nie znam ani rosyjskiego, ani ukraińskiego, ale w każdym razie myśmy ich nazwali ze wschodu – Rosjanie. Najwięcej tam byli nie tylko ci, którzy w tym obozie zostali wywiezieni przymusowo. Jak się okazuje ci Rosjanie np., to byli Rosjanie, którzy sami się zgłosili na roboty. Uciekli tam z obozu gdzieś itd. Niektórzy mieli nawet te mundury niemieckie kolejowe. Dostaliśmy przydział, mam nawet legitymację. Została mi chyba jeszcze. Tu nie mam, musiałbym się tam gdzieś pogrzebać. Z niemiecką gapą z pobytu, że jestem członkiem, zrobili z nas członków jakichś, nie wiem, kolejowej sekcji napraw jakichś elektrycznych. Jeśli gdzieś były bombardowania, uszkodzone zostały przewody elektryczne, no to nas tam wsadzali w samochód czy w pociąg, zależy, gdzie to było, jechaliśmy tam no i trzeba było wejść na słup i naprawić. To też jest coś charakterystycznego. Za pierwszym takim wyjazdem pojechaliśmy i mieliśmy naprawić linię niskiego napięcia, która naprowadzała prąd do jakiejś wsi. A więc na tych słupach, drewnianych normalnie, była rozwieszona. No więc każdy z członków tej naszej grupy dostał słupolazy. Słupolazy miał założyć, wdrapać się na ten i zobaczyć, czy tam jest w porządku wszystko, czy nie, czy linia przerwana, itd. Te słupolazy dostałem i ja. Przy słupie mnie postawili i miałem to samo robić, ale nie miałem zielonego pojęcia, co się w ogóle z tymi słupolazami robi. No ale tam z daleka popatrzyłem, zakładają na buty, no to tamto też jakoś tam założyłem na buty. No i jak się wszyscy [niezrozumiałe], to się miałem [niezrozumiałe]. Zresztą oni mnie uprzedzili: „Słuchaj, udawaj pomocnika, nie znasz się. W razie czego, to, że musisz poradzić”. itd., no ja mówię: „Ale co ja mam powiedzieć do diabła?”. Niemieckiego zresztą nie znałem na tyle, a pilnował nas taki niemiecki żołnierz, ale chyba już z tych roczników starszych, bo to jakiś starszy facet z tym karabinem chodził, miał, ale to była taka biedota, że coś straszego. W ogóle się nie wtrącał do nas. Oczywiście robota musiała być zrobiona, ale on się nie interesował, on się nie znał na tym, on tylko był od spraw porządkowych, prawda, zrobienia zbiórki itd., na nas. No i ja tam jakoś ten słupolazy założyłem, na ten słup się wdrapałem jakieś na wysokość, bo ja wiem, z 1,5 metra. Jak zjechałem po tym słupie na dół, to jednak trzeba umieć, jak się okazuje. To nie tak, że można sobie wdrapać się i na ten, trzeba umieć zahaczyć to, prawda, żeby właśnie nie zjechać z powrotem na dół. No mi się to właśnie za pierwszym razem nie udało. Zleciałem na dół, ten Niemiec to zauważył, coś tam zaczął po niemiecku szwargotać, no ale koledzy zobaczyli też, przyszedł jeden kolega, który znał niemiecki, no

i tam wytłumaczył, że jestem pomocnikiem, że się nie tego, powiedział, jak te słupotazy założyć, jak mam się wdrapywać itd. I tak się skończyła moja ta pierwsza, że tak powiem, praca w charakterze już właśnie jeńca niemieckiego. Ja zresztą miałem wyrzuty sumienia potem, jak żeśmy już stamtąd wyszli, to ja mówię: „Do cholery, nie wstyd wam tak Szwabom pomagać?”. Na co oni popatrzyli: „Ee, nie bądź głupi. Widziałeś, żebyśmy coś naprawili?”. Ja mówię: „No nie, chyba nie”. Rzeczywiście zawsze tam inne sprawy. „No widzisz, nawet jak beze mnie każą ci kiedyś wejść i będziesz wiedział, jak masz naprawić, to nie bądź głupi, weź młotka, bo ten staruszek tam, on i tak się nie...”. Wzięli młotka, stuknęli w izolator. Izolator pękł, no to schodzili na dół, pokazywali Niemcowi, że... Oni by naprawili, ale muszą mieć nowy izolator, no bo bez tego się nie da. No to Niemiec kiwał głową, no tak, to on napisze raport, żeby przysłali. Raport. Słysząc już było front, a on nie miał nic do roboty, tylko izolatora tam gdzieś pod jakąś wioskę dośyłać, bo zasilacza nie mają. No i tak było. I tak było tam. Jeden stłukł jakiś izolator, drugi tam jakieś śruby odkręcił, że no nie ma śrub, takie śruby potrzebuję, żeby nakręcić. To on napisze raport, tylko żeby mu powiedzieć, jak to nazwać. Głupoty tam jakieś mówili, że takie i takie, takie śruby, to taki izolator. Podobno pisał te raporty, podobno, bo nikt z nas nie widział, nigdy nic nie przyszło, że tak powiem, no nic z tego nie wynikało. No ale tam tak się sprawa właśnie kończyła.